

# Madagaskar 2018

Mając urlop ograniczony do 3 tygodni, do tego w środku europejskich wakacji, zaczęliśmy szukać opłacalnych połączeń lotniczych. Rozważaliśmy Brazylię, Panamę, Kostarykę, malezyjskie Borneo. Okazało się, że dopłacając kilkaset złotych możemy polecieć na zawsze drogi Madagaskar. Przygotowując się do wyprawy okazało się, że przez 3 tygodnie możemy zwiedzić jedyne około połowę interesujących nas miejsc. Wybraliśmy dwie najpopularniejsze trasy: na zachód i południe od stolicy. Zdjęcia z naszej wyprawy znajdują się na stronie [plecakowicz.pl/foto](http://plecakowicz.pl/foto). Życzymy miłego czytania i oglądania zdjęć. Będziemy wdzięczni za wszystkie uwagi przesłane na e-mail: [plecakowicz@gmail.com](mailto:plecakowicz@gmail.com).

## 1. Spostrzeżenia z wyprawy

Co nas przyciągnęło na Madagaskar, to że zwiedza się tam głównie cuda natury i nie ma tam wielu atrakcji zbudowanych przez człowieka. Na zachodzie są baobaby, piaskowe formacje skalne i można popłynąć na kilkudniowy rejs po rzece w canoe. Na południe od stolicy są lasy deszczowe, góry i piękne plaże, do których nie udało nam się dojechać z braku czasu. Wszędzie są lemury, które na wolności można zobaczyć tylko na Madagaskarze.

Oglądając bajkę Madagaskar, kraj ten wyobrażaliśmy sobie jako wielką wyspę pokrytą lasami. W rzeczywistości większość kraju to góry i pagórki bez roślinności, poprzecinane rzekami. W pobliżu rzek są pola ryżowe, których widzieliśmy tam więcej niż w Azji. Byliśmy w porze suchej, co było widać po żółtej trawie i roślinach, które czekały z utęsknieniem na deszcz. Są tu też lasy deszczowe, które są zwykle strzeżone jako parki narodowe i rezerwaty.

Madagaskar to jeden z najbiedniejszych krajów świata. Większość ludzi żyje tu poniżej granicy ubóstwa (definiowanej jako przeżycie za 2\$ dziennie na osobę). Jednak nie ma tu głodu, bo klimat jest ciepły i większość ludzi żyje z rolnictwa. Ludzie mieszkają w prostych domkach z cegły, bez prądu i wody, którą trzeba donosić z pobliskich studni. Prąd i woda bieżąca jest tylko w dużych miastach. Zauważyliśmy, że czym dalej od stolicy tym biedniej.

Ludzie etnicznie pochodzą z Azji (Indie, Filipiny, Indonezja) i południowo-wschodniej Afryki, przyплыли na Madagaskar na łodziach. Powoduje to, że mieszkańcy są bardzo wymieszani, mamy Azjatów, czarnoskórych oraz Europejczyków, którzy dotarli tu najpóźniej.

## 2. Dziennik podróży

### 14.07.2018 Wrocław – Paryż

Wykorzystując 9 godzinny czas oczekiwania na samolot na Mauritius odwiedzamy naszych przyjaciół w Paryżu. Idziemy spacerem na La Defense, gdzie wjeżdżamy na punkt widokowy łuku. Z góry rozpościera się ładny widok na miasto, a zwłaszcza na Łuk Triumfalny, wieżę Eiffla i lasek bułoński z jednej strony oraz Nanterre z drugiej strony. Z uwagi na święto – rocznicę rewolucji, wszędzie jest pełno ludzi. Z tego też powodu bilety na łuk są droższe niż normalnie. Po mile spędzonym popołudniu wracamy na lotnisko, gdzie tuż przed północą wsiadamy do samolotu na Mauritius. Jesteśmy zdziwieni, że tak duży samolot (zabierający 468 osób na pokład) leci na tak małą wyspę, ale dla Francuzów to pewnie jeden z popularniejszych kierunków urlopowych.

### 15.07.2018 Paryż – Port Louis – Antananarywa

Noc minęła nam szybko, bo udało nam się przespać. Lot nad Mauritiusem okazał się być ciekawy, gdyż przelecieliśmy nisko nad całą wyspą. Mauritius okazał się być bardzo zielony i niezbyt zaludniony. Miejscami widać większe góry, ale w większości wyspa jest dość płaska. Lotnisko jest nowoczesne, podobne do tego we Wrocławiu. Po przejściu kontroli paszportowej, oglądamy kartki, książki i pamiątki z Mauritiusu. Miejscowa kawiarnia przypomina francuskie ciastkarnie. Wypieki wyglądają niemal identycznie. Widać wpływ francuskich kolonizatorów. Opóźnieni wylatujemy do połowy zapełnionym samolotem linii Air Mauritius na Madagaskar. Po starcie widzimy ładne plaże i wysepki. Po przylocie nad Madagaskar naszym oczom ukazuje się zupełnie inny krajobraz. Ziemia jest czerwona a teren górzysty. Przez kilkadziesiąt minut lotu widzimy niewiele osad ludzkich. Nie ma też żadnych lasów. Dopiero koło

stolicy widzimy więcej pól uprawnych i osad. Przejście przez wszystkie kontrole wydaje się nie mieć końca. Najpierw kontrola zdrowotna (mierzona jest temperatura każdej przylatującej osoby), następnie zakup wizy, potem kontrola paszportowa, której dokonują aż 4 osoby i trwa to w nieskończoność. Po odbiorze bagażu kupiliśmy miejscową kartę SIM i przeszliśmy przez kolejną kontrolę, tym razem bagażu, wymieniliśmy pieniądze i zorientowaliśmy się, że oficjalne okienko do zamawiania taksówek jest już zamknięte. Jedziemy jakimś prywatnym samochodem za wytargowaną cenę do hotelu (Maison Lovasoa – polecamy). Jest już ciemno, ale głodni idziemy jeszcze do pobliskiej pizzerii. Akurat trwa finał mistrzostw świata w piłce nożnej w Rosji i wszyscy wyszli oglądać finałowy mecz Francja-Chorwacja. W pizzerii wszystko jest pozajmowane, ludzie stoją w przejściu a część – której nie udało się już wejść do środka - stoi na ulicy. Uczestniczymy w ich emocjach. Na szczęście przyszliśmy na samą końcówkę meczu i po chwili wszyscy się rozeszli.

### **16.07.2018 Antananarywa – Antsirabe – Miandrivazo**

O 7 rano, tak jak byliśmy umówieni, przyjeżdża po nas kierowca z przewodnikiem i szefem biura, z którym zdecydowaliśmy się podróżować. Podpisujemy umowę, płacimy i wyruszamy w drogę. Po drodze mijamy same pola uprawne, głównie ryżu oraz sprzedawców przydrożnych. Każda wioska sprzedaje coś innego – jedni truskawki, inni pomarańcze, następnie figury Maryjna, bębenki, samochody i inne rzeczy. Wszystko ładnie poukładane. Przy drodze jest dosyć czysto, nie ma typowego dla Afryki wysypiska śmieci przy drodze. Po 3 godzinach dojeżdżamy do Antsirabe z ładną kolonialną katedrą. Robimy ostatnie zakupy w supermarkecie i na targu, jemy przepyszny obiad i ruszamy w dalszą drogę. Po kilkudziesięciu kilometrach jest już bardzo mały ruch uliczny a wioski są coraz rzadziej. Towarzyszą nam jednak piękne krajobrazy. Sama natura. Po przyjeździe do Bootakely Hotel w Miandrivazo idziemy się przejść wzdłuż miejscowego targu i ulic. Wszyscy nas serdecznie witają, robią sobie ze mną zdjęcia i się uśmiechają i machają. Ludność jest bardzo serdeczna. Wracamy już drugi dzień z rzędu po ciemku, choć ostrzegali w przewodniku, aby po zmroku już nigdzie nie chodzić. Tu jednak dopiero po zmroku widać życie. Wszyscy gromadzą się wokół lokalnych garkuchni lub jedzą w Hotely jak nazywają się tu miejscowe restauracje, dlatego miło jest ich obserwować.

### **17.07.2018 Miandrivazo – Tsiribihina River**

Po wczesnym śniadaniu jedziemy samochodem szutrową drogą godzinę do punktu startowego rejsu kanu po rzece Tsiribihina. Sprawnie pakujemy rzeczy i w 5 osób (my, przewodnik i 2 wiosłarzy) wsiadamy na kanu. Początkowo woda jest dość niska, na tyle, że miejscowa ludność w rzece uprawia ryż. Po drodze co jakiś czas zatrzymują nas miejscowi. Wiosłarze dają im wtedy po dwa kubki ryżu, czasem trochę oleju do butelki, czasem marchewki. Dość szybko orientujemy się, że to rodzaj miejscowego, nieoficjalnego podatku. Czasem szef wioski domaga się także drobnych sum pieniędzy. Proceder zaczął się podobno 2 lata temu i przybiera na sile. Kolejne wioski dopatrują się w tym możliwości pozyskania dodatkowego pożywienia i pieniędzy. Niby niedużo, ale jak mówi przewodnik, pokazuje to skalę korupcji w całym kraju, która podobno jest duża. Przez cały dzień nie widzimy innych kanu z turystami. Jedynie jedna łódź motorowa, która wypływała z tego samego miejsca przepływa koło nas dwukrotnie. Łódź jest okropna, bardzo głośna i choć przepływa w duże odległości od nas, to hałas jest duży. Nawet dużo szybciej nie płynie. Nie polecam nikomu, chyba że z zatyczkami do uszu. Poza tym spotykamy tylko miejscową ludność i obserwujemy jak wygląda życie wzdłuż rzeki. Kobiety robią pranie, kąpią się i zbierają wodę, mężczyźni pracują na roli, życie płynie wolno i zgodnie z naturą. Na lunch zatrzymujemy się na jednym z brzegów. Przewodnik i wiosłarze starają się jak mogą. Jemy zebu i ryż z warzywami i ruszamy w dalszą drogę. Po południu zaczynamy odczuwać trudy siedzenia w podobnej pozycji przez cały dzień. Momentami trudno znaleźć sobie miejsce, choć warunki są jak najlepsze (pod plecami i siedzeniem mamy materace, na których w nocy się śpi w namiocie). Dopływamy do wodospadu, bardzo ładnego, w którym możemy się kąpać. Korzystamy z okazji, bo innego prysznicza nie będzie. Po drodze jednak czeka na nas inna niespodzianka, widzimy nasze pierwsze pospolite lemury z bliska. W trakcie płynięcia łódką widzieliśmy co prawda lemury skaczące po drzewach, ale było to dość daleko. Po kąpieli przepływamy na plażę po drugiej stronie rzeki, gdzie rozstawiamy obóz i pod madagaskarskim gwieździstym niebem w całkowitym spokoju jemy kolację.

### **18.07.2018 Tsiribihina River**

W nocy a właściwie nad ranem było zimno. Po alarmie nie chciało nam się wychodzić ze śpiworów. Dobrze jest mieć ciepłą piżamę i polar. Dopóki w pełni słońce nie weszło jest dość chłodno. Potem jednak szybko się ociepla. Po zwinieniu obozu ruszamy w dalszą drogę. Najpierw płyniemy do największej wioski po drodze, gdzie schodzimy na ląd. W mgnieniu oka pojawiają się koło nas tłumy dzieciaków, które idą za nami przez całą wioskę. Szybko pozbywamy się zapasów cukierków, ale na miejscowym targu za grosze kupujemy całe stoisko bananów i rozdajemy dzieciom. Idea super się sprawdziła. Sprzedawczyni zarobiła a dzieci zjadły coś zdrowego i pożywnego. Lepsze niż cukierki, które i tak wszyscy turyści przywożą. Wracamy na łódkę i płyniemy dalej na obiad, który tym razem jemy w

kolejnej wiosce. Tym razem już naprawdę resztkę cukierków zostawiamy nauczycielce, która rozdaje w spokoju dzieciom. Po południu widzimy kilka krokodyli, które wylegają się na słońcu w pobliżu wioski i pól ryżowych oraz pierwsze baobaby. Obozowisko znów rozbijamy na plaży, niedaleko wioski, więc natychmiastowo pojawiają się dzieci. Nasza obsługa zabija kurczaki, które wieźliśmy żywe z sobą i przygotowuje kolację z kurczakiem z imbirem i frytki. Biorąc pod uwagę, w jakich warunkach powstaje to danie, jesteśmy pełni podziwu dla ich sztuki kulinarnej. Dzieciaki cały czas koło ogniska się bawią i tańczą. Radzimy zabrać nawilżane chusteczki, które dają namiastkę toalety porannej i wieczornej.

### **19.07.2018 Tsiribihina River – Tsingy (Bekopaka)**

Gdy się budzimy dzieci już są koło naszego namiotu. Czy one nigdy nie śpią? Po śniadaniu pakujemy obóz, rozdajemy zużyte koszulki (bardzo się z nich cieszą i to chyba najlepszy prezent) i ruszamy w godzinną podróż kanu do końca naszej wyprawy. Następnie ok. 2 godziny jedziemy do przeprawy promowej. Po drodze jednak jedziemy jeszcze furmanką ciągniętą przez zebu w jednej z wioski. Przeprawa promowa jest dość prymitywna, ale o dziwo działa. Tu widzimy dopiero, że jest szczyt sezonu, bo z różnych miejsc zjechały się samochody i jest ich sporo, tak że kilka promów płynie jednocześnie. Jemy wyśmienity lunch w Belo-sur-Tsiribihina w Mad Zebu (rzeczne krewetki są tak dużych rozmiarów, że nawet rozmiar jumbo czy king są małe). Na deser bierzemy owoce na ciepło w miodzie z lodami z zielonym pieprzem. Menu nie powstydziliby się paryska restauracja. Dalej już z konwojem jedziemy ok. 3 godzin do Tsingy. Po drodze kilkakrotnie zatrzymujemy się, gdyż inne samochody się zatrzymują. Konwoje na tej trasie to nowość. Około miesiąc temu miał miejsce napad na samochód wiozący turystów o charakterze rabunkowym. Po tym incydencie państwo zarządziło przejazdy w konwojach. Droga jest szutrowa, dość wyboista, samochody robią tumany kurzu – lepiej ubrać ciemną koszulkę i nastawić się, że całemu będzie się po przejeździe brudnym. Na końcu czeka nas jeszcze jednak przeprawa. Okazuje się, że jeszcze bardziej ekstremalna niż poprzednia, gdyż trzeba częściowo przejechać przez wodę. Jeden z samochodów z turystami wpada do połowy do wody. Inni próbują go wyciągnąć, ale się to nie udaje. Przeprowadzamy się na drugi brzeg z turystami z tego samochodu i jedziemy do hotelu Orchidee du Bemaraha. Wszystko wygląda ładnie. Kompleks jest zadbane. Do jedzenia podają jedną przystawkę, jedno danie główne i jeden deser. Można zamówić cały zestaw lub wybrane jego elementy. Pod prysznicem widzimy jak spływa po nas brązowa woda. Tyle kurzu zebraliśmy, że Przemek się śmieje, że ważymy kilogram więcej.

### **20.07.2018 Petit Tsingy**

Rano po opłaceniu przewodnika i wstępów do parku wyruszamy na pierwszą wycieczkę po parku narodowym Tsingy. Pierwsza część wycieczki to rejs czółnem rzeką Manambolo przez kanion. Po drodze zatrzymujemy się w 2 jaskiniach i oglądamy stalaktyty. Potem widzimy czaszki w skalnych szczelinach, które leżą tu już od 300 lat i które do dziś darzone są szacunkiem (nie wolno wskazywać w parku niczego palcem). Drugą część porannego trekkingu – szlak Manambolobe - odbywamy już pieszo. Idziemy na małe Tsingy. Są to ciekawe formacje skalne, o czarnym/ciemnoszarym kolorze o charakterystycznym ostrym ukształtowaniu i z żłobieniami na całej długości. Jesteśmy zaskoczeni, że po skalach można chodzić i że są dobrze przygotowane ścieżki z kamiennymi stopniami, tam gdzie jest to konieczne. Nie spotykamy też prawie żadnych turystów, co trochę nas dziwi, bo w hotelu i na przeprawie był tłum samochodów. Kilka osób płynie samym czółnem, niektórzy całą trasę idą na pieszo. Na obiad wracamy do hotelu i orientujemy się, że wbrew temu co mówił przewodnik powinniśmy iść także zgodnie z planem na popołudniowy trekking. Po lekkich perturbacjach z przewodnikiem i szefem firmy idziemy na popołudniowy trekking szlakiem Andadaoany. Jesteśmy bardzo zadowoleni, bo udaje nam się zobaczyć rude i szare nocne lemury. Idziemy także labiryntem utworzonym ze skał i mamy bardziej egzotyczne odczucia po tym trekkingu niż po porannym. Po powrocie relaksujemy się nad basenem. Hotel jest bardzo ładnie zrobiony, niczego nie brakuje a jedzenie, choć drogie jest bardzo dobre (głównie owoce morza). Na wszystkie posiłki jest 1 przystawka, 1 danie główne i 1 deser do wyboru. Można zamówić cały zestaw albo tylko wybrane posiłki. Gorzej jak nam menu nie pasuje.

### **21.07.2018 Grand Tsingy**

Po godzinnej dojeździe do drugiej części parku, rozpoczynamy zdobywanie dużego Tsingy. Cała trasa, składająca się z 2 mniejszych Ranotsara oraz Andamozavaky i łącznika Broadway trwa ok. 6 godzin. Na trasie są różne warianty, my wybieramy ten trudniejszy, ale też o wiele bardziej ciekawy i pełen przygód. Najpierw w lesie widzimy białe sifaki i to 2 osobne grupy. Potem wspinamy się na skały, stosując daną nam uprząż i przechodzimy po pierwszy wiszącym mostku. Trasa jest o wiele bardziej wymagająca niż 1 dnia, ale też ładniejsza. Wszystko jest większych rozmiarów niż w małym Tsingy. O dziwo na pierwszej części trasy nie spotykamy nikogo, dopiero przy łączniku mijamy się z pierwszymi turystami. Po zejściu z pierwszej trasy idziemy lasem a następnie dużą część drogi jaskinią. Momentami przejścia są bardzo wąskie, trzeba zdejmować plecak, bo można utknąć. Trzeba też mieć ze sobą latarkę, najlepiej czołówkę, bo jaskinia nie jest oświetlona. W jaskini widzimy nietoperze. Brudni, ale szczęśliwi dochodzimy do drugiej

trasy w dużym Tsingy. Tu panuje już tłok jak na Śnieżce. Widać, że większość turystów z dużego Tsingy robi tylko tę część szlaku. Tutaj mamy 2 punkty widokowe oraz kolejny wiszący mostek. Widzimy jak większość turystów ostrożnie chodzi po skałach, momentami trzeba czekać aż przejdą. Po zejściu ze skał jemy lunch kupiony w hotelu (rostbef z ryżem) i ruszamy w dalszą trasę. Spotykamy w drodze powrotnej lemury i ciekawe ptaki z niebieskim okiem i długim ogonem. Niezjedzone ciastka i chrupki dołączone do zestawu lunchowego rozdajemy dzieciom na parkingu (warto mieć ze sobą zawsze coś dla dzieci, np. banany, chociaż najczęściej proszę o cukierki, ale zdarza się, że również o mydło). Popołudnie spędzamy relaksując się nad basenem. Wieczorem jedziemy do Bekopaki na kolację w miejscowej knajpie. Jedzenie jest tu o wiele tańsze, ale nie tak wyszukane jak w hotelu. Jednak grillowana ryba powinna zadowolić większość osób a warto wspierać lokalne rodziny a nie zagranicznych inwestorów, do których należą hotele, w których zatrzymują się turyści.

## **22.07.2018 Bekopaka - Belo-sur-Tsiribihina – Allee des Baobabs – Morondava**

Przeprawiamy się promem i czekamy na pozostałe jeepy, aby utworzyć konwój. Czekając na innych obserwujemy tańczące dzieci oraz zainteresowanie jakie wzbudza puszczonego przez jednego z turystów dron. Dojeżdżamy ok. 10.45 do Belo-sur-Tsiribihina. Próbujemy drugą z turystycznych restauracji Karibo w tym mieście, która serwuje równie wyszukane menu jak poprzednia i w podobnych cenach. Jest niedziela, co widać po odświętnych strojach większości mieszkańców. Po skończonym obiedzie idziemy się przejść uliczkami. Akurat przejeżdżają 4 mniejsze ciężarówki z parami młodymi i gośćmi. Dla par ustawiono plastikowe krzeselka na pace, aby nie stali jak pozostali zaproszeni goście. Ubrani są po europejsku, może nieco bardziej cukierkowo-kiczowato. O 12.30 przeprawiamy się na 2 brzeg rzeki. Tym razem barka płynie pod prąd, więc przeprawa trwa około godziny. Potem jedziemy już do alei baobabów – najbardziej znanej i najczęściej odwiedzanej przez turystów atrakcji Madagaskaru. Po drodze widzimy także całe mnóstwo innych fajnych baobabów, w tym Sacre Baobab - święty baobab, który liczy sobie 800 lat i do którego miejscowa ludność przychodzi się modlić wierząc w jego nadprzyrodzone siły. Niby chrześcijaństwo dotarło tu już w XIX w. i większość uważa się za wierzących, ale przesady i tradycje mają się bardzo dobrze. Następnie oglądamy najśłynniejszy baobab w kraju, czyli baobab wyglądający jak złączona w uścisku para. Na koniec dojeżdżamy do alei baobabów. Aleja jest częścią krajowej drogi – na spokój nie ma więc co liczyć. Poza tym jest tam mnóstwo turystów, zarówno zagranicznych, jak i lokalnych. W rzeczywistości aleja wydaje się o wiele krótsza niż to sama nazwa wskazuje i można ją spokojnie przejść kilka razy. Przed zachodem słońca wszyscy ustawiają się na jednej ze stron alei, by obserwować na tle alei zachodzące słońce. O tej porze roku dokonuje się to dość szybko, ale naszej zimy podobno czeka się i czeka aż słońce zajdzie. Widok jest bardzo ładny i romantyczny. Gdyby tylko jeszcze nie było tylu turystów... Na noc dojeżdżamy do Chez Maggie. Kupujemy też bilety na 25 lipca na taxi brousse do Antsirabe, bo miejsca mogą się skończyć. Dokupujemy także jeszcze jedną noc w hotelu, aby odpocząć po podróży. Żegnamy się także z naszym kierowcą i przewodnikiem. Przewodnik na pamiątkę daje nam swoją płytę z Madagaskaru.

## **23.07.2018 Morondava**

Większość turystów po śniadaniu opuszcza hotel i jedzie dalej, także przez większą część dnia jest spokojnie i mamy cały hotel dla siebie. Najpierw idziemy na spacer po plaży w obydwie strony. Plaża jest piaszczysta, szeroka, nie najpiękniejsza, ale można na niej leżeć, choć trzeba mieć własne ręczniki, bo nie ma żadnej infrastruktury. W pobliżu są również namorzyny oraz kanał. Po drugiej stronie kanału jest ładna wioska rybacka. Wracamy do hotelu i przedpołudnie spędzamy nad basenem. Po pysznym obiedzie (kraby oraz szaszłyk z krewetek i ryby) idziemy na plażę. Woda jest ciepła, można się kąpać, co też turyści chętnie robią. Spotykamy kilka par, które są z innych hoteli. Jest nawet strażnik-ratownik. Mocno wieje wiatr, więc cali jesteśmy w piasku. Po kąpieli oglądamy zachód słońca i spacerujemy.

## **24.07.2018 Morondava – Antsirabe**

Byliśmy umówieni z firmą transportową, że o 3 przyjedzie po nas busik. Również o 3 zadzwonili do nas, pytając czy jesteśmy gotowi. Wyszliśmy przed hotel i ok. 3.30 podjechał już w dużej mierze zapakowany bus. Początkowo bardzo głośno grało radio (warto zabrać ze sobą stopery). Na szczęście po wyjeździe z miasta kierowca wyłączył radio i można się było zdrzemnąć. Po wschodzie słońca był pierwszy postój na śniadanie. Można było zjeść zupę ryżową z suszoną rybą albo różne smażone plaki/pączki. My wybraliśmy tę drugą opcję, poprzestając na bardzo tanich plackach ryżowych, które zagryzaliśmy kupionymi wcześniej bananami. Potem drugi dłuższy postój był na obiad. Za grosze zjedliśmy ryż z mięsem i warzywami i dla pewności popiliśmy wszystko colą. Po 10 godzinach, tak jak zapowiadano, dojechalśmy do Antsirabe. Kupiliśmy bilety do Fianarantsoa i do Ranomafana oraz zatrzymaliśmy się w hotelu przy samym przystanku (Avana). Wrażenia niezapomniane, ale na 1 noc można przeżyć. Jedziemy cyclo-pousse na plac Niepodległości. Tam oglądamy starą stację kolejową, idziemy do Hotel des Thermes oraz do Bains

nad jeziorem. Budynki są bardzo ładne i świadczą o popularności tutejszego uzdrowiska, ale obecnie są w złym stanie i wymagają remontu. Następnie idziemy do katedry oraz na kolację w Chez Jenny.

### **25.07.2018 Antsirabe – Ranomafana**

O 6.30 odjeżdżamy z dworca do Fianarantsoa. Droga jest asfaltowa, tylko w jednym miejscu rzeka podmyła asfalt i jest błoto. Widzimy jak TIR się zatrzymał na podjeździe i zablokował przejazd w dwie strony. Na szczęście po chwili wraca, zjeżdża w dół i możemy kontynuować drogę. Wzdłuż RN7 domki są murowane a ludzie bogatsi. Nawet dzieci nie proszą o cukierki. Oczywiście jest tu równie biednie, ale bieda jest jednak inna. Po drodze mijamy ciężko pracujących ludzi w polu, zaprzęgami z zebu oraz kobiety robiące pranie w zimnej rzece, choć na dworze jest też bardzo zimno. Standardowo zatrzymujemy się przy drodze na śniadaniu i obiedzie. Miejscowi na śniadanie jedzą zupę ryżową (ryż na wodzie), ale nie odważyliśmy się spróbować ze względu na wodę. Natomiast kupujemy naleśniki i bagietki – kanapki, które o dziwo są bardzo smaczne i tanie. Na obiad zwykle można zamówić ryż z kawałkiem mięsa lub zupę. Dojeżdżamy po 13 do Fianar. Tu próbują nam wmówić, że musimy kupić kolejny bilet na przejazd, choć wykupiony mamy na całą podróż aż do Ranomafana. Ostatecznie wsiadamy do taxi brousse i nikt od nas nie chce żadnych pieniędzy. Po dojeździe do bramy parku wysiadamy, gdyż dzień wcześniej zarezerwowaliśmy 2 miejsca w dormach tuż przy bramie, żeby nie chodzić. Okazuje się jednak, że miejsc nie ma a całe schronisko jest zajęte. Manager mówi, że numer na który dzwoniliśmy należy do poprzedniego managera i żadnej rezerwacji nie ma. Podchodzi do nas lokalny przewodnik i proponuje, żebyśmy pojechali do następnego taniego hotelu Foret Australe. Tak też robimy. Taxi brousse podjeżdżamy 2 km w dół za 1000 ariarów/os. i znajdujemy tam nocleg. Decydujemy się także wypożyczyć samochód z Fianar do Isalo. Opisy w przewodniku dostania się z jednego miejsca na drugie w parku są tak słabe, że nie chcemy ryzykować. Dzwonimy do Mad Trekking w Fianar i rezerwujemy samochód osobowy na wyjazd do Isalo na 4 dni.

### **26.07.2018 Ranomafana - Fianarantsoa**

O 7.30 spotykamy się przy bramie parku z przewodnikiem, który dzień wcześniej polecił nam nocleg. Wybieramy dłuższy trekking Vatoharanana. Początkowo przez 3 i pół godziny chodzimy po lesie deszczowym i szukamy lemurów. Udało nam się zobaczyć 4 gatunki. Niektóre bardzo wysoko na drzewach. Aż szyja momentami boli od spoglądania w górę. W praktyce wygląda to w ten sposób, że każda grupa ma jeszcze swojego tropiciela a potem jak jedni coś znajdują, to od razu dzwonią do siebie i w praktyce zawsze w grupach ogląda się lemury. Niektórzy turyści przy tym nieźle hałasują, ale na szczęście lemurom zdaje się to nie przeszkadzać. Po kolejnym dniu z lemurami stwierdzamy także, że trzeba mieć dużo szczęścia, żeby zobaczyć lemura blisko w naturze i zrobić mu zdjęcie. Zwykle są one wysoko w koronach drzew i ogląda się je z oddali. Na pewno ten park narodowy różni się od innych roślinnością. Wszędzie jest sucho a tu jest wilgotno i zielono. Roślinność jest bujna i tropikalna. Tak wyobrażaliśmy sobie większą część Madagaskaru. Większość zalesienia jednak wycięto pod pola uprawne i obecnie Madagaskar ma niewiele pierwotnych lasów. Potem idziemy na punkt widokowy i nad wodospad, który jest bardzo ładny. Tu nie spotykamy już prawie żadnych turystów. Schodząc z wodospadów w kierunku bram parku udało nam się zobaczyć jeszcze 3 lemury z bardzo bliska. Obserwowaliśmy jak jedzą owoce, wybierają te dojrzałe, wypluwają pestki i przeskakują na kolejną gałąź, gdzie owoce nie zostały jeszcze zjedzone. Żegnamy się z miłym przewodnikiem i wracamy na pieszo do hotelu, skąd zabieramy plecaki i wychodzimy na ulicę by złapać taxi brousse do Fianarantsoa. Udaje nam się po 19 minutach. W Fianar bierzemy taksówkę do Razaotel. Oczywiście po dowiedzeniu taksówkarz próbuje nas oszukać, ale się nie dajemy. Idziemy wypłacić pieniądze, po drodze mijamy wielkie targowisko warzywno-owocowo-ubraniowe.

### **27.07.2018 Fianarantsoa – Reserve d'Anja – Ranohira**

Rano jedziemy do biura Mad Trekking naszym nowo wypożyczonym samochodem Karenjy, made in Madagascar, by podpisać umowę i zapłacić za wynajem. Po spisaniu umowy jedziemy wykupić ubezpieczenie. Potem ruszamy w drogę. Samochód, choć wiekowy, całkiem dobrze radzi sobie na drodze. Kierowcę mamy sympatycznego i mówi po angielsku. To pewnie najtaniej wypożyczony samochód z kierowcą jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Praca jest tu jednak słabo opłacana. Po drodze zatrzymujemy się w fabryce jedwabiu a następnie jedziemy do rezerwatu Anja. Jest to prywatny rezerwat, który słynie z lemurów. Ponadto jest pięknie położony, przy zboczu ciekawej kamiennej góry i wielkich głazów. Wybieramy dwugodzinny trekking i wyruszamy w drogę. Już po 5 minutach, nad jeziorem widzimy z bliska całe stado lemurów pijących wodę. Akurat zrobiło się ciepło. Lemury biegają po polu i są w słońcu. Rzadko kiedy są tak dobrze widoczne. Czekamy aż wchodzą na drzewo na dalszą konsumpcję okrągłych małych owoców, robimy zdjęcia i idziemy dalej, choć szkoda, bo tak ładnie i blisko nas są. Wchodzimy do jaskiń, w których zamieszkiwali kiedyś miejscowi ludzie i wchodzimy na jedną wielką skałę, z której rozpościera się ładny widok na całą okolicę, w tym jezioro, pola ryżowe i lemury katta z pasiastymi ogonami, które wygrzewają się na skale a następnie powoli przechodzą po kolei przez inne skały do lasu na siestę – jak podsumował nasz przewodnik. Okazuje się, że są

to te same lemury, które widzieliśmy nad rzeką. Mogliśmy więc oglądać je w różnych sytuacjach. Po powrocie na parking jedziemy zjeść obiad w miejscowej knajpie (ryż, rosół i noga od kurczaka). Całość popijamy ostawioną wodą garnka z przypalonym ryżem, która podobno ułatwia trawienie. Kontynuujemy drogę do Ranohiry. Powoli krajobraz się zmienia, wyjeżdżamy z górzystego terenu na płaskowyż. Jest tu pusto i płasko. Miejscowe plemię zajmuje się hodowlą zebu. Widać to po wielkich stadach, które pasą się na polach. Dojeżdżamy do hotelu Le Orchidee d'Isalo, zostawiamy bagaże i jedziemy na zachód słońca do La Fenetre de l'Isalo. Jest to skała z naturalnym otworem przez który turyści oglądają zachód słońca. Skała nam się podoba, podobnie jak widok z niej, ale tłum turystów zdecydowanie psuje oglądanie zachodu słońca. Wracamy do hotelu, umawiamy się z przewodnikiem poleconym przez kierowcę i kończymy dzień kolacją w jedynej prawdziwej restauracji w mieście – Le Zebu Grille.

## **28.07.2018 Parc National de l'Isalo**

O 7 wyjeżdżamy na wycieczkę pieszą po parku. W planach mamy ok. 15 km trekking następującymi szlakami: Piscine Naturelle, Crest Circuit, Namaza kamping, Namaza szlak z naturalnymi jeziorami i Cascade des Nymphs. Najpierw wchodzimy na szczyt góry. Po drodze widzimy tradycyjne groty, w których chowa się zmarłych z plemienia Bara oraz ognioodporne drzewo Uapaca bojeri. Z góry rozpościera się ładny widok na całą okolicę. Same skały również są ciekawe, wielokolorowe. Początkowo nie spotykamy żadnych turystów, dopiero gdy zbliżamy się do Piscine Naturelle widzimy, że jest szczyt sezonu i że na spokojne wędrowanie raczej nie mamy co liczyć. Sam basen jest pięknie położony. Nam kojarzy się wadi, które spotykaliśmy w krajach arabskich. Wśród suszy i pustkowiec mamy bowiem wodę oraz egzotyczną i zieloną roślinność dookoła. Kąpiemy się szybko, bo woda jest bardzo zimna. Polecamy jednak, bo nic tak nie orzeźwia przed dalszą drogą. Następnie aż do kempingu Namaze idziemy po otwartym polu. Słońce świeci coraz mocniej. Przemek mówi, że to miejsce powinno się nazywać „Patelnią”. Tuż przed kempingiem spotykamy jedyne przedstawiciela sifaki w parku. To się nazywa mieć szczęście. Na samym kempingu grasują natomiast lemury katta, które widać, że są przyzwyczajone do obecności turystów w tym miejscu. Wszyscy w tym miejscu jedzą zamówiony wcześniej u przewodnika lunch. Ktoś wpadł na niezły pomysł z grillem w parku. Do wyboru jest zebu lub kurczak. Oprócz tego dostajemy sałatkę na przystawkę i ananasa na deser, o ryżu nie zapominając. Po obiedzie idziemy do dwóch naturalnych oczek wodnych w kanionie: niebieskiego, które akurat jest szare bo spadła lawina błotna i czarnego, w którym można się kąpać. Jest tu przyjemnie chłodno i idzie się cały czas w cieniu, co jest miłą odmianą po „Patelni”. My jednak się nie kąpiemy i idziemy dalej do Cascade des Nymphs – nie chodzi przy tym o nimfy a o zaby, które kiedyś przy kaskadach mieszkały i głośno rechotały. Miejsce to jest urokliwe i zaciszne. Wśród wysokich skał słychać szum spadającej z góry wody. Gorąco polecamy. Wracamy na inny parking niż ten, z którego zaczynaliśmy i wracamy samochodem do miasta. Relaksujemy się nad basenem, obchodzimy miasteczko spacerkiem, ale jednak po 8 godzinach wędrowania czujemy zmęczenie i szybko kładziemy się spać, co zresztą na Madagaskarze wychodzi nam dobrze jak nigdy. Nierzadko śpimy już przed 20. Za to rano wstajemy jak skowronki.

## **29.07.2018 Parc National de l'Isalo**

Rano wybieramy się do kanionów Rats i Maki. Najpierw dojeżdżamy 17 km od Ranohiry samochodem drogą szutrową (ale nasz zwykły samochód też ją pokonuje) do parkingu i następnie zmierzamy przez pola do pierwszego z nich. Po drodze widzimy nad rzeką lokalną bimbrownię. Podobno okoliczny rum jest dobry, ale proces produkcji nie zachęca do spożycia – nawet gdybyśmy pili alkohol. Nad rzeką próbujemy znaleźć lemury, które zamieszkują tę okolicę, ale żadnego nie udaje nam się zobaczyć. Do kanionu Rats wchodzi się tylko kilkadziesiąt metrów w głąb. Dalej droga jest niedostępna. Kanion jest wysoki, podobny do tego, który widzieliśmy dzień wcześniej. Przechodzimy lasem do kanionu Maki. Tu spotykamy pierwszą i jedyną na tym szlaku grupę turystów. Widać, że to miejsce jest rzadziej odwiedzane niż te, które widzieliśmy dzień wcześniej. Drugi z kanionów kończy się oczkiem wodnym, w którym można się kąpać. Woda jest jednak zimna, więc nie korzystamy. Po drodze widzimy małe wodospady i tęczę, która się wokół nich tworzy. Po wejściu z powrotem do lasu widzimy lemury red-fronted brown. Na widok miejscowych jednak szybko uciekają. Wracamy na parking i przejeżdżamy do drugiego, nowego parku koło Ranohiry, parku komunalnego d'Andranosoa. To nowy park, utworzony 2 lata temu przez lokalną społeczność. Pobierany jest tam osobny wstęp. Koszt przewodnika jest jeden dla obydwu parków. Tam najpierw kąpiemy się w Piscine Naturelle a potem jemy zebu z grilla, przygotowane przez miejscowego kucharza specjalnie dla nas. Tutaj żadnych turystów już nie spotykamy. Po obiedzie idziemy na punkt widokowy znajdujący się na szczycie pobliskiej kamiennej góry. Szlak nie jest tak dobrze wytyczony jak w parku narodowym l'Isalo, więc idziemy przez trawy i pola miejscami. Lepiej mieć ubrane spodnie, żeby nie porysować nóg. Jest ciepło a pod górę nie ma praktycznie żadnych drzew, więc słońce mocno grzeje. Podejście jest wymagające, ale dość szybko je pokonujemy i przekonujemy się, że jest to najpiękniejszy punkt widokowy jaki w ciągu tych dwóch dni udało nam się zobaczyć w tej okolicy. Przewodnik mówi, że ten park oferuje ładniejsze widoki, jedynie nie ma tu lemurów i coś w tym jest. Panorama jest bezkresna, trochę jak w Kolorado, trochę jak w Arizonie, trochę jak w Afryce. Schodzimy w dół i samochodem z innego miejsca niż wcześniej wracamy do Ranohiry, gdzie resztę popołudnia spędzamy nad basenem przy hotelu.

### **30.07.2018 Ranohira – Ambositra**

O 7 wyjeżdżamy z Ranohiry. Tahiri jedzie szybko, więc kilometry biegają szybko. Za rezerwatem Anja zmieniają się nam kierowcy. Tahiri jedzie z powrotem do Ranohiry a my z właścicielem Mad Trekking wracamy do Fianar. Tam tankujemy na koniec samochód i znajdujemy taxi brousse do Ambositry. Jedziemy szybko, jest dużo zakrętów i połowa pasażerów źle się czuje. Próbujemy przespać drogę na ile to możliwe. Po 4 godzinach dojeżdżamy do Ambositry. Zostajemy w hotelu Mania i próbujemy wybrać pieniądze z bankomatu. BNI niestety nie działa. Idziemy aż na koniec miasta do Bank of Africa, ale ten nie przyjmuje w ogóle naszej karty. W drodze powrotnej próbujemy inną kartę w BNI i tym razem udaje nam się wypłacić pieniądze.

### **31.07.2018 Ambositra – Antananarivo**

Trzeba powiedzieć, że kierowcy są słowni. Jak się wykupi dzień wcześniej bilet na podróż taxi brousse, to przyjeżdżają po nas za darmo do hotelu o umówionej godzinie. Sprawdziło nam się to wielokrotnie podczas podróży, także można im ufać. Ok. 13 dojeżdżamy do stolicy. Po drodze mijamy znane nam już stragany z samochodami, bębenkami i innymi dobrami, które tu się sprzedaje. Na dworcu próbują od nas wymusić dwukrotnie większą kwotę za dojazd do centrum, ale odchodzimy trochę dalej i płacimy normalną cenę. Zatrzymujemy się w hotelu Niaouly. Jest tu czysto i przyjemnie a do tego niedrogo – polecamy. Zostawiamy plecaki, jemy obiad i idziemy na proponowany walking tour z Lonely Planet. Najpierw idziemy do katedry katolickiej. Tuż obok postawiono wielki pomnik Matki Bożej, ale jeszcze nie jest odsłonięty. Przy katedrze znajduje się także kaplica z doczesnymi szczątkami błogosławionej Wiktorii Rasoamanarivo. Miejsce to jest żywym miejscem kultu, w środku dużo osób się modli. Dalej idziemy do muzeum Andafivaratra, byłego pałacu premiera, który rządził Madagaskarem. W środku jest kilka sal wystawowych z pamiątkami po premierze i monarchach Madagaskaru oraz duża, odremontowana sala na środku pałacu z wysoką szklaną kopułą. Następnie idziemy do Rova. Okazuje się, że obowiązkowo trzeba wziąć teraz przewodnika, żeby ją zwiedzić. Po wejściu przez zabytkową bramę z orłem od Napoleona wchodzimy na dziedziniec, na którym poza dużym murowanym pałacem, widocznym z prawie każdego miejsca w stolicy są dwa małe drewniane domki. To grobowce królów i królowych (osobno), których szczątki przeniesiono tu z Ambohimangi. Z każdej strony są ładne widoki, gdyż Rova położona jest na najwyższym wzniesieniu w stolicy. Za murowanym pałacem znajduje się drewniany pałac króla, który dzieli się na 4 części. Przewodnik pokazuje, nam łóżko na piętrze (król spał u góry) oraz szczeble, po których wspinał się pod dach i rzucał w niechciany gości kamieniami. Do pałacu trzeba wejść prawą nogą a wyjść tyłem najpierw lewą a potem prawą nogą. Oglądamy także odnowiony kościół protestancki, w którym królowie uczestniczyli w nabożeństwach po nawróceniu na chrześcijaństwo. Wcześniej strącali chrześcijan ze skarp, na której zbudowany jest pałac. Główny murowany pałac niestety nie jest dostępny. Został odnowiony po pożarze z zewnątrz a w środku prace nie zostały dokończone z powodu braku pieniędzy i polityki państwowej. Z placu rozpościera się ładny widok na Lac Anosy, sztuczne jezioro w kształcie serca, które kazała zbudować królowa. Z góry schodzimy aż na plac niepodległości, po drodze oglądając pałac prezydencki i uliczkę jubilerów.

### **1.08.2018 Antananarivo – Ambohimanga**

Dopiero na placu niepodległości znajdujemy taksówkę, która za rozsądną cenę zabiera nas na dworzec autobusowy, skąd odjeżdżają taxi be linia H do Ambohimanga. Inni taksówkarze chcą od nas co najmniej dwa razy tyle co tutaj. Na szczęście autobus odjeżdża szybko. Choć to tylko 20 km od stolicy, jedziemy 1,5 h. Na miejscu podchodzimy na pieszo pod górę, na której znajduje się wzgórze królewskie, wpisane na listę UNESCO. Widać, że dla Madagaskaru jest to ważne miejsce, gdyż przyjeżdża tu dużo wycieczek szkolnych. Za opłatą można robić na terenie kompleksu zdjęcia, ale tylko z zewnątrz. Tu, podobnie jak w stolicy, znajduje się pałac króla (w środku mają tę samą konstrukcję) i pałac królowej z europejskim wyposażeniem i o wiele bardziej bogaty. Powyżej znajdują się pierwotne grobowce królów i królowych oraz baseny, w których się kąpali. Kompleks nie jest duży, więc jego zwiedzanie nie zajmuje dużo czasu. Wracamy taxi be do stolicy i idziemy na zakupy do Shoprite oraz na obiad. Zostawiamy zakupy w hotelu i idziemy na spacer nad jezioro Anosy, do znajdującego się na wyspie na jeziorze pomnika pomordowanych żołnierzy. Dobrze stąd widać Rovę i Heute Ville.

### **2.08.2018 Antananarivo – Lemurs Park**

Na ostatni dzień zaplanowaliśmy Lemurs Park, który oddalony jest ok. 20 km od stolicy. Przemek zatrzał się jedzeniem, więc druga opcja, tj. dodanie farmy krokodyli po południu odpadło. Do parku lemurów jedziemy taxi brousse linia G, która odjeżdża z dworca w dzielnicy Anosibe. W ponad godzinę jesteśmy na miejscu. Park jest mały i zwiedza się go z przewodnikiem (w cenie biletu). Całość zwiedzania zajmuje nam ok. 1 godziny 15 minut. W tym czasie spokojnie przechodzimy pomiędzy różnymi grupami lemurów i sifak, które zamieszkują park. Niektóre z nich są na drzewach i jedzą liście, inne mają akurat porę karmienia i widzimy jak jedzą marchewki, pomarańcze, papaję. Zwierzęta oswojone są z turystami i się ich nie boją. W związku z tym same podchodzą bardzo blisko i można tu zrobić lepsze

zdjęcia niż w parkach narodowych. Park jest namiastką życia na wolności (zwierzęta nie są trzymane w klatkach). Jedynie dokarmianie świadczy, że nie są dzikie. Widzimy miesięczne, małe sifaki, których na wolności nie udało nam się zobaczyć oraz inne gatunki lemurów, których również nie widzieliśmy. Przewodnik daje nam wystarczająco dużo czasu, aby zrobić zdjęcia i nacieszyć się zwierzętami. Z tej wizyty jesteśmy bardzo zadowoleni i polecamy ją wszystkim, którzy w parkach narodowych nie zdążyli zrobić dobrych zdjęć ze względu na oświetlenie lub odległość od lemurów. Wracamy w ten sam sposób, w jaki do parku przyjechaliśmy (bez jakiegokolwiek czekania udaje nam się zatrzymać taxi brousse). Dystans między hotelem a przystankiem pokonujemy na pieszo, mijając po drodze wielkie targowisko w okolicy Lac Anosy. Wypłacamy brakujące pieniądze z bankomatu, jemy obiad i popołudnie spędzamy w hotelu. O 21 jedziemy na lotnisko. O dziwo wszystko idzie tym razem sprawnie. Zaskoczeniem jest kolejna kontrola już na płycie lotniska przed wejściem do samolotu. Kiepski pomysł biorąc pod uwagę, że po północy jest zimno i dość długo trzeba na nią czekać w kolejce.

### **3.08.2018 Antananarivo – Paryż – Warszawa – Wrocław**

Lot do Paryża trwa ponad 10 godzin. Samolot był prawie pełny jednak akurat obok nas było jedno wolne miejsce, więc było nam wygodniej spać. Przylatujemy do Paryża planowo. Lotnisko jest zatłoczone. Widać, że jest środek sezonu. Wylatujemy z godzinnym opóźnieniem, bo samolot nie ma jak wystartować. W Warszawie jest podobnie, dużo lotów jest opóźnionych i szukają wolontariuszy, którzy zgodzą się przełożyć lot za gratyfikacją finansową. My szczęśliwie wracamy do Wrocławia, gdzie odbierają nas rodzice. Po północy wylatywaliśmy z Madagaskaru i tego samego dnia wieczorem jesteśmy w domu. Całkiem dobre połączenie, chociaż czarterem można dolecieć do Polski w 10 godzin.

## **3. Ocena miejsc**

Madagaskar [8/10]: Antananarywa [6/10], Antsirabe [5/10], Tsiribihina River Cruise [9/10], Tsingy NP [9/10], Allee des Baobabs [9/10], Morondava [6/10], Ranomafana NP [7/10], Reserve d'Anja [10/10], Parc National de l'Isalo [9/10], Ambohimanga [7/10], Lemurs Park [9/10]